

# Czego nauczył mnie Profesor Władysław Grodziński

Jan Kozłowski<sup>1</sup>

Profesora Władysława Grodzińskiego, wówczas jeszcze doktora, poznałem jako student w roku 1969. Był to rok, w którym sekretarz generalny ONZ U Thant ogłosił raport o zagrożeniu środowiska, przerywający znową milczenia wielkich tego świata na ten temat. Trzy lata później ukazał się pierwszy raport Klubu Rzymskiego *Limits to Growth*. Trudno dziś to sobie wyobrazić, ale nie było wtedy w programie studiów żadnego kursu poświęconego biologii środowiskowej. Profesor Halina Krzanowska odstąpiła Doktorowi Grodzińskiemu kilka wykładów w kursie „Ewolucjonizm”, by mógł zapoznać nas z podstawami ekologii. Była to słuszna decyzja, gdyż jak głosi tytuł książki G. Evelyn Hutchinsona z 1965 roku, ewolucyjna gra odbywa się w teatrze ekologicznym. Ta ekologiczna „wstawka” była prowadzona w nowoczesny, bardzo klarowny i atrakcyjny sposób, na co wpływ miało zapewne to, że Doktor Grodziński wrócił właśnie po długim stażu w Stanach Zjednoczonych. Sądzę, że doskonałe wykłady profesor Krzanowskiej ze świetnym uzupełnieniem Władysława Grodzińskiego przemieniły mnie z obserwatora ptaków w ekologa i biologa ewolucyjnego.

---

<sup>1</sup> Prof. dr hab. Jan Kozłowski pracował w Instytucie Nauk o Środowisku UJ.

Ekologii było też poświęconych kilka godzin zajęć w ramach tak zwanej pracowni półdiennej. Wykonywaliśmy wtedy obliczenia związane z przepływem energii przez populacje, a nie mieliśmy wtedy do dyspozycji nawet prostych kalkulatorów. Wyciągnąłem z teczki suwak logarytmiczny, na którym nauczył mnie mnożyć i dzielić ojciec, co zrobiło na doktorze Grodzińskim takie wrażenie, że zanotował przy moim nazwisku: „umie liczyć”. Nie wykluczam, iż ta opinia odegrała pewną rolę sześć lat później, gdy starałem się w Krakowie o pracę po opuszczeniu Uniwersytetu Śląskiego, który stawał się wtedy nieprzyjemnie czerwony – Władysław Grodziński mimo braku wybitniejszych uzdolnień matematycznych zdawał sobie bowiem sprawę, że ekologia to nauka o charakterze ilościowym.

Tak więc w roku 1976 rozpocząłem pracę w Katedrze Genetyki i Ewolucjonizmu, z której właśnie wydzielił się Zakład Ekologii pod kierunkiem doktora habilitowanego Władysława Grodzińskiego. Miał on duże i uzasadnione wątpliwości, czy mnie przyjąć. W tym czasie był już nie tylko po długoterminowym stażu w Stanach Zjednoczonych, ale także po kilku latach intensywnej współpracy międzynarodowej w ramach Międzynarodowego Programu Biologicznego (IBP). Zdawał sobie sprawę z międzynarodowego charakteru nauki i konieczności publikowania w języku angielskim w dobrych czasopiśmie. Następnym pokoleniom trudno sobie wyobrazić, że stanowiło to w tamtych czasach ogromne wyzwanie. Byliśmy izolowani, na szczęście nie tak silnie jak inne „demoludy”. Nie mieliśmy dostępu do literatury światowej, a odbitki prac zdobywaliśmy dużym wysiłkiem. Zachodnie książki można było kupić w bardzo małej liczbie egzemplarzy. Pisaliśmy nie najlepiej po angielsku, a nasze maszynopisy – pisane rzeczywiście na maszynie, nawet nie elektrycznej, bo komputerów poza wielkimi maszynami w centrach obliczeniowych nie było – wyglądały znacznie gorzej od maszynopisów naukowców z Zachodu: szary papier, kiepska czcionka, z powodu braków w wyposażeniu nieprofesjonalnie robione poprawki. Opublikowanie każdego artykułu w zachodnim czasopiśmie lub rozdziału w zachodniej książce – a tylko to dawało szansę, by zostać zauważonym – stanowiło ogromny sukces. Ale kilkuosobo-

wemu zespołowi Władysława Grodzińskiego to się udawało. A ja przyszedłem z dorobkiem kilku przyczynkarskich artykułów po polsku. O przyjęciu mnie do zespołu ostatecznie zdecydowały dwa czynniki. Pierwszym było doświadczenie dydaktyczne – w Katowicach wymyślałem i samodzielnie prowadziłem regularne ćwiczenia z ekologii, które na Uniwersytecie Jagiellońskim dopiero miały się rozpocząć. Drugim była rekomendacja profesora Henryka Szarskiego, z którym miałem dobry nieformalny kontakt podczas studiów i w trakcie pracy na Uniwersytecie Śląskim. Profesor Szarski zdawał sobie sprawę z moich opóźnień publikacyjnych, ale dostrzegał we mnie potencjał badawczy.

Tak więc udałem się na okres ośmiu lat, z półtoraroczną przerwą, na staż podoktorski w Stanach Zjednoczonych, wszedłem w młyn pracy naukowej, dydaktycznej i organizacyjnej pod kierunkiem doktora habilitowanego, a potem profesora Władysława Grodzińskiego. Kończyłem doktorat, do którego materiały zebrałem jeszcze na Śląsku. Prowadziłem badania najpierw w ramach Problemów Węzłowych, a potem Problemów Międzyresortowych, przy czym poza pracami terenowymi zajmowałem się również modelowaniem matematycznym, do którego Władysław Grodziński przywiązywał bardzo dużą wagę. Uczyłem się pisać z myślą o międzynarodowych czytelnikach. Administrowałem jednym z projektów kierowanych przez Profesora, który uczył nas samodzielnego, choć pod nadzorem, wykonywania trudnych zadań. Przy wszystkich tych zadaniach nasz wymagający Szef wpajał podwładnym zasadę, że trudne warunki, bo przecież takie były za „późnego Gierka”, nie są usprawiedliwieniem – musimy po prostu pracować ciężiej niż nasi zachodni koledzy. Ta praca kończyła się często przed północą, by wysłać z Poczty Głównej list jeszcze z datą bieżącego dnia. Cóż, nie było poczty elektronicznej. Nauczyłem się, że jak trzeba, każda pora dnia i nocy jest dobra do pracy, co bardzo mi w późniejszych latach pomagało. Na szczęście mój zegar biologiczny działa inaczej niż przeciętny, więc cierpiełem mniej niż koledzy.

Dzięki Grodzińskiemu wyrząłem, w sensie naukowym, na świat. W 1978 roku wzięłem po raz pierwszy udział w międzyna-

rodowej konferencji, niezbyt daleko, bo w Brnie. Młodszy koledzy, jeżdżący bez przerwy po świecie, często jeszcze jako studenci, nie wierzą, ale miałem wtedy 32 lata. W tym samym roku z kilkusetoma dolarami w kieszeni pojechałem na warsztaty organizowane przez Uniwersytet w Lund. W roku 1981 Profesor załatwił mi staż podoktorski w University of Athens, w Georgii w Stanach Zjednoczonych. Prawdę mówiąc, dopiero tam nauczyłem się jako tako języka angielskiego i rozwinąłem nieśmiało zaczęta jeszcze w kraju problematykę naukową, której jestem wierny do dziś. Wyjechałem w listopadzie 1981 roku, a rodzina została w Polsce i miała dojechać po Nowym Roku. Miesiąc po moim wyjeździe został ogłoszony stan wojenny, moi bliscy dostali pozwolenie na wyjazd dopiero we wrześniu. Wcześniej Athens odwiedził Grodziński, który wykładał jako *visiting professor* na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Z powodu stanu wojennego wyjechał ze sporym opóźnieniem, a miał zastępować profesora, który z kolei wyjechał na *sabbatical*, wizyta wisiała na włosku.

Z perspektywy czasu doceniam nowoczesność podejścia Profesora do kwestii komunikacji wewnątrz zespołu. Wtedy dopiero „pączkowała” era informatyczna, a więc wszystko było „analogowe”, a nie cyfrowe. Nasze indywidualne skrzynki mailowe, z dykty, stały na korytarzu, dzięki czemu poczta, a papierowej było wtedy dużo, nie walała się po ciepłarkach i zamrażarkach, co do dziś bywa normą i zgorą w wielu pracowniach. W tych skrzynkach często czekały na nas analogowe SMS-y – małe karteczki, najczęściej pisane na maszynie, z krótką informacją lub poleceniem. Nie trzeba było potwierdzać ich otrzymania, bo nie mogły przecież trafić do spamu. Profesor wprowadził też instrukcję „prześlij dalej”, czyli *forward*. Na dokumentach, które miało przeczytać kilka osób, wypisywał inicjały kolejnych pracowników, do których należało przekazać papiery po przeczytaniu. Ostatnimi inicjałami były zwykle W.G. – Władysław Grodziński. Gdy dokumenty dotarły do niego, wiedział, że wszyscy przeczytali. Można powiedzieć, że to tylko drobiazgi, ale jak ułatwiające życie!

W czasie gdy pracowałem w zespole Władysława Grodzińskiego, Profesor był wewnątrznie rozdarty i to go spalało. Z jednej strony widział potrzebę uprawiania dobrej nauki na światowym poziomie, z drugiej dostrzegał narastanie problemów środowiskowych w Polsce i na świecie i uważał, że przede wszystkim temu zespół powinien się poświęcić. Największym jego osiągnięciem było zamknięcie najgroźniejszego truciciela w rejonie Krakowa – Huty Aluminium w Skawinie. Oczywiście nie było to dzieło wyłącznie Profesora, ale bez jego ogromnej energii i niezwykle wyętej pracy projekt mógłby się nie udać. Trzeba pamiętać, że aluminium uważano wtedy za towar strategiczny.

Kiedy patrzę na życie Profesora z perspektywy lat, myślę, że jego tragedią było to, że urodził się za wcześnie. Chciał zostać skutecznym menadżerem, co w tamtych czasach wymagało członkostwa w PZPR, a na to nie chciał się zgodzić. Zwłaszcza że samo członkostwo by nie wystarczyło, należało zaistnieć „w układzie towarzyskim”, na co nie pozwalała mu kindersztuba. Tak więc miotał się, ponieważ chciał być równocześnie naukowcem uprawiającym czystą naukę i praktykiem, chciał być uczciwym człowiekiem i skutecznym menadżerem. Przypłacił to ciężką chorobą serca, która spowodowała, że umarł przedwcześnie. Gdyby urodził się później, miałby szansę żyć dłużej i osiągnąć znacznie więcej już po przemianach ustrojowych.

Pozostawił po sobie grono uczniów, do których i ja mam zaszczyt się zaliczać. Nauczył nas, że współpraca międzynarodowa i publikowanie w głównym nurcie są konieczne – wiele lat przed tym, zanim zaczęto liczyć cytacje i impakt faktory. Nauczył nas też, że sukcesy osiąga się ciężką pracą. Założony przez niego Instytut Biologii Środowiskowej (który przekształcił się później w Instytut Nauk o Środowisku, co na pewno Profesorowi by się spodobało) istnieje do dziś i ma bardzo wysoką pozycję w kraju i za granicą. Tak więc krótkie i niełatwe życie Władysława Grodzińskiego z pewnością nie poszło na marne.